

Pismo.

MAGAZYN OPINII

WRZESIEŃ 2022 | NR 9 (57)

SOCZEWKA PISMA

**Zielony Mur Afryki:
zamiast dzielić
daje nadzieję**

STUDIUM

**Kogo dziś stać
na dom?**

HISTORIA OSOBISTA

**Małgorzata Lebda:
Musimy dbać
o nasze rzeki**

**Ołena Zelenska:
jej rodzina
w czasie wojny**

CENA: 17,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258



9 772544 502203

MAGAZYN OPINII

Pismo.

WRZESIEŃ 2022 | NR 9 (57)



[Kup książkę](#)

Pismo.

WRZESIEŃ 2022

PROZA

Wiosłami po trawie | 6
DANIEL ODIJA

Powtórka | 92
TOVE DITLEVSEN

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne we wrześniu

POEZJA

Koraleska | 11
MAZ JOHNROSE

Woda w deszczu | 67
KAE TEMPEST

OBRAZ

CYKL REMEDIUM **Na przeciwności** | 4
RAV.A STORIES

FOTOREPORTAŻ **Nie czas umierać** | 48
MAREK M. BEREZOWSKI

KOMIKS **Samotność komiksiarza** | 74
ADRIAN TOMINE

W RAMACH PISMA **Wikiup** | 90
HONORATA MARTIN, MAKSYMILIAN PODLEŚNY

Żarty rysunkowe
FILIP ZAWADA

OKŁADKA **Amulet na świata piruet**
RAFAŁ WILK

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Just a small town boy...**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytania czytelnika

96 | PRZYPISY **À propos domu**
ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

89 | **Co w niej trzyma...**
DANIL VITKOWSKI

SOCZEWKA PISMA

12 | **Mur nadziei**
BARTEK SABELA o panafrkańskim projekcie, który ma powstrzymać pustynię

STUDIUM

38 | **Wyścig po mieszkania**
PIOTR WÓJCIK sprawdza, jak wygląda rynek mieszkaniowy w Polsce

HISTORIA OSOBISTA

58 | **Cel numer dwa**
SHAUN WALKER o życiu ukraińskiej pierwszej damy i jej rodziny w cieniu wojny

68 | **Kręgi na wodzie rozchodzą się, rozchodzą**
MAŁGORZATA LEBDA rok po biegu wzdłuż Wisły wraca nad rzeki

ESEJ KULTURA

64 | **Czy jestem Złą Feministką?**
MARGARET ATWOOD próbuje zrozumieć dzisiejsze spory kulturowe

Z PISMEM U...

78 | **Marioli Przyjemskiej**
LIDIA PAŃKÓW rozmawia z jedną z najważniejszych artystek współczesnej Polski

Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysznińska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i sekretarstwo redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Idee: Karolina Lewestam, Ekonomia i Technologie: Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Edyta Zielińska, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szełowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Ewa Pluta
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz, Skład i łamanie: Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szełowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysznińska, Marketing: Mateusz Roesler, Promocja: Ewa Salamon,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Fundraising: Natalia Czarkowska, Reklama: reklama@magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979),
dziennikarka i redaktorka. Obroniła
doktorat z filozofii na Uniwersytecie
Bostońskim. Wielokrotnie
nominowana do nagrody Grand Press.
Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.

Mam lat czterdzieści cztery i to samo
w sobie jest nieprzyzwoite, bo czuję się
na dwadzieścia siedem. W tym dziwnym
i niesprawiedliwym wieku stanąłem przed
jakimś nowym rozwidleniem dróg.

Osiem lat temu przyjechałem do Warsza-
wy ze średniego miasta. Zakochałem się
w stolicy. Pracowałem z firmami, uczelnia-
mi i redakcjami, o których kiedyś mogłem
jedynie pomarzyć.

I oto nagle moja instytucja przestała ist-
nieć, włącznie z moim etatem. Wyraźnie
odczuwam to jako wezwanie do zmiany.
Tylko jakiej?

Chyba nie w miłości. Nie związałem się
z żadną kobietą na stałe. Nie czuję się do-
brze w związkach. Kocham samotność.
Może przeprowadzka? Czy wracać do M.?
Mam tam przyjaciół. Ale znowu nie wiem,
co miałbym tam robić zawodowo.

Krótko mówiąc, chciałbym coś zmienić,
ale nie wiem co. Nie widzę perspektywy,
która dawałaby rozgrzewającą serce wizję
przyszłości (kiedyś pewna dziewczyna,
dając mi kosza, powiedziała: „Nie mam
rogrzewającej serce wizji naszego bycia
razem” – i to mnie tak wzruszyło, że nawet
się na nią nie gniewałem). Co robić, gdy
się utknie w takiej szarości? I czy będzie
jeszcze kiedyś druga szansa na reset?

Twój J.

—
Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest
napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz
do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

ROZMOWY Z K. // FELIETON

Just a small town boy...

Drogi J.,

oczywiście nie wiem, co powinieneś zrobić. IT? Powrót do M.? Przeprowadzka w Bieszczady i golenie owiec? Nie mam pojęcia! Kto to może wiedzieć! Ale przecież nie po to do mnie pi-
szesz. Pisziesz, bo jesteś zdziwiony swoją własną obojętnością w kwestii szerzej znanej jako
życie. Dręczy cię egzystencjalne ennu, a może raczej niemoc. Zdarzył się czas na reset i na
zmianę, a ty jesteś jak najedzony klient w supermarkecie – przebierasz w produktach (możli-
wych drogach) bez przekonania. Coś tam trzeba kupić, ale może po prostu... chleb?

Nie wiem, czy słyszałeś o profesorze fizyki z Connecticut nazwiskiem Ron Mallett. Skuba-
ny, podobno już prawie wymyślił maszynę czasu opartą na jakimś triku z laserami. Nie jest
to jeszcze niestety TARDIS Doktora Who ani wehikuł Herberta Wellsa, ale kiedy czytam twój
list, mam wielką ochotę napisać do Malletta i kazać mu przyspieszyć nieco jego ślimacze ba-
dania, bo chciałabym sama z nich skorzystać i przenieść się w czasie o jakieś osiem lat wstecz.
Po co? By obejrzeć sobie tamtego J.

Tamten J. sprzed ośmiu lat – to był gość, prawda? Rozejrzał się wokół po swoim mieście,
spakował walizkę, zasalutował i wszedł do pociągu relacji M.–Warszawa; wysiadł na Dworcu
Centralnym i ruszył w nieznaną. Czy się bał? Nawet jeśli się bał, to był to ten ekscytujący ro-
dzaj strachu (w głowie już gra mi Journey: *Just a city boy / born and raised in south Detroit / he
took the midnight train going anywhere!*). Miał jaja, że tak powiem, ten chłopak, a poza tym miał
też zdrową dawkę życiowej brawury. I żył w zupełnie innym świecie niż dzisiejszy J., a miano-
wicie w takim, w którym rzeczy są możliwe, a los potrafi człowieka zarazem zaskoczyć i być
mu przychylnym.

Na pewno tęsknisz za nim, J. On by wiedział, czego chciał i jak. Ja też tęsknię za tamtą K.,
która mogła z dnia na dzień wyruszyć na morze albo za ostatnie drobne kupić szczura. Ona też
pewnego dnia przyjechała z nadzieją i lękiem do Warszawy (*Just a small town girl...*). A ta dzi-
siejsza tak jak ty potrafi się przestraszyć, że może oto boginie wzywają ją do zmian albo woła ją
przeznaczenie, ale nijak już nie potrafi rozpoznać ich głosu, więc zamiast wstać i biec do przo-
du, tkwi w miejscu, gdzie ktoś rozsnuł jakąś przekłątą mgłę, przez którą trudniej się pragnie.

To nie nasza wina. To wiek średni, wiek męski, wiek kłęski; tak dziwnie usytuowany na
osi czasu, że zamiast chęci i pragnień, niekiedy wzbudza melancholię. Filozof Kieran Setiya
w swojej książce o kryzysie wieku średniego pisze o nas tak: „Żyłeś już wystarczająco długo,
żeby zapytać: A więc to wszystko? Wystarczająco długo, żeby popełnić kilka poważnych błę-
dów i spojrzeć wstecz na triumfy i porażki z dumą i żalem; żeby patrzeć w bok, na stracone
szanse, życia, których nie wybrałeś i których nie przeżyłeś; i żeby spojrzeć naprzód, na koniec
życia, może nie tak bliski, ale i nie daleki; dystans doń mierzony jest w jednostkach, które dziś
już wiele ci mówią: przy odrobinie szczęścia może kolejne czterdzieści lat” [przeł. K.L.]. Z tej
przedsłownej perspektywy trudniej podejmować decyzje. Łatwiej, gdy ma się dzieci, gdy się
kocha lub gdy stać cię na czerwone ferrari, ale rozumiem, że te wspomagacze są
dla ciebie chwilowo niedostępne.

Ale masz wciąż dawnego J. Usiądź wygodnie i zamknij oczy. Przypomnij go sobie, pamię-
taj, jak niewiele widział (nie patrzył ani w bok, ani na koniec drogi), ale jak mocno chciał i jak
bardzo wiedział niektóre rzeczy, na przykład dokąd pragnie iść. Wróć do niego myślami, bo
tylko on ma tę mądrość, której dzisiaj potrzebujesz.

A potem raz jeszcze spakuj walizkę.

Oto prawdziwy kryzys wieku średniego, nadchodząca prześniona rewolucja.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca we **wrześniu**

Antropolodzy w podróży



Cykl wykładów online *Antropolodzy w podróży*

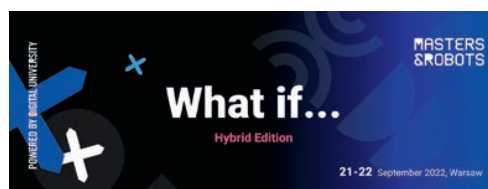
We wrześniu Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie rusza z cyklem wykładów online pod hasłem *Antropolodzy w podróży*. Podczas dziewięciu spotkań z antropologami i podróżnikami organizatorzy chcą przyjrzeć się funkcji turystyki w budowaniu kultury i relacji społecznych. Pierwsze spotkanie odbędzie się 7 września.

WIĘCEJ: ethnomuseum.pl

Konferencja Masters & Robots

W dniach 21–22 września w trybie hybrydowym (w Warszawie oraz online) odbędzie się po raz czwarty konferencja technologiczna Masters & Robots. Na wydarzeniu łączącym biznes z nowymi technologiami wystąpią futurologi, innowatorzy i naukowcy, tacy jak Scott Galloway, Amy Webb czy Kai-Fu Lee, i będą debatować o rozwiązaniach największych globalnych wyzwań społecznych, klimatycznych i gospodarczych.

WIĘCEJ: mastersandrobots.tech



Wrzesień 2022

2

7

21

24

Festiwal Fotografii *W ramach Sopotu*

Miasto Sopot, Państwowa Galeria Sztuki oraz Sopotcka Szkoła Fotografii zapraszają od 2 do 18 września na Festiwal Fotografii *W ramach Sopotu*. Swoje premierowe wystawy pokażą w tym roku między innymi: Kacper Kowalski, Agnieszka Sejdu, Hubert Humka, Trine Søndergaard, studenci Szkoły Filmowej w Łodzi i gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych. Fotografie reportażową zaprezentuje zaś Patryk Bułhak z projektem *Porzucone córki tygrysa*.

WIĘCEJ: wramachsopotu.pl

Koncert Kae Tempest w Nowym Teatrze w Warszawie

Trzecią edycję Międzynarodowego Festiwalu *Nowa Europa. Ucieczka do przodu* w Nowym Teatrze w Warszawie inauguruje w tym roku koncert poetu, performeru, osoby raperskiej nurtu *spoken words*, uhonorowanej Srebrnym Lwem Biennale w Wenecji w 2021 roku, Kae Tempest. Koncert otwiera międzynarodową trasę płyty *The Line Is A Curve*.

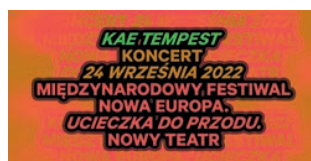
WIĘCEJ: nowyteatr.org



Międzynarodowy Festiwal Filmowy Kino Dzieci

Organizatorzy Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Kino Dzieci zapraszają na tegoroczną edycję w formule hybrydowej, od 24 września do 2 października w kinach dwudziestu miast w Polsce. Program przewidziany dla widzów powyżej czwartego roku życia mieści dwanaście zróżnicowanych tematycznie i gatunkowo sekcji (w tym jedną poświęconą opiekunom), wypełnionych dokumentami, filmami aktorskimi i animowanymi. Od 6 do 23 października seanse będą dostępne online.

WIĘCEJ: kinodzieci.pl





[Kup książkę](#)



REMEDIU M

Na przeciwności

zdjęcie IWONA EL TANBOULI-JABŁOŃSKA / F11 STUDIO, *tekst* KAROLINA WYBRANIEC

Świat to niewymierna mieszanka tego, co dobre i złe. My również jesteśmy taką mieszanką. Jednak gdy spadają na nas niespodziewane przeciwności, znika poczucie kontroli, jaką do tej pory mieliśmy nad własnym życiem.

Przeciwności są punktem krytycznym, zmieniają bieg zdarzeń i plany, które – dopinane na ostatni guzik – nagle biorą w łeb. A tymczasem głowa nie nadąża, gubi się w gruzach.

Jednak rezygnacja z kontroli bywa ratunkiem. Bo często to ona nie pozwala iść dalej.

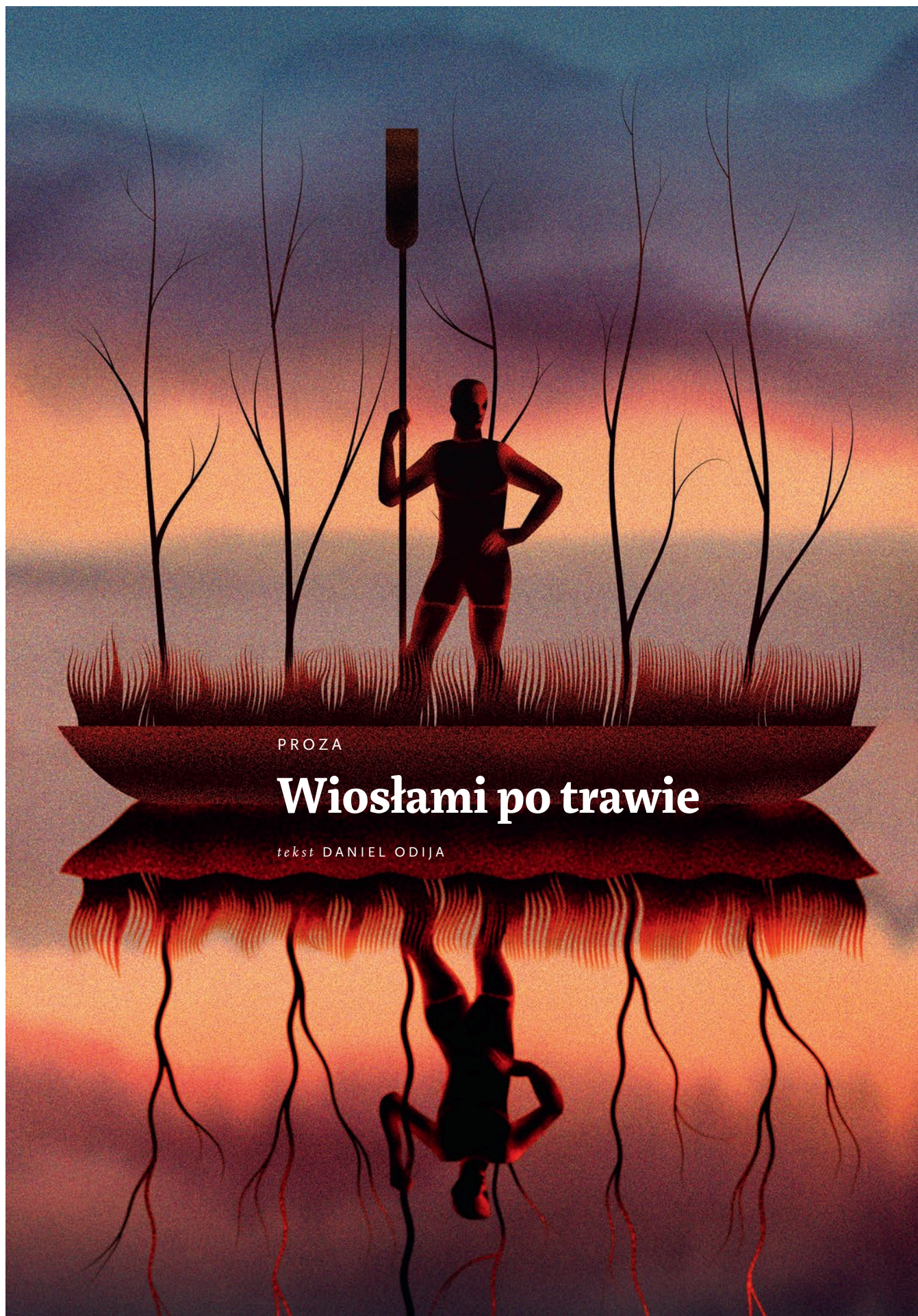
A gdybyśmy nauczyli się praktykować nadzieję? Ćwiczyć ją jak mięsień? Trenować pamięć mięśniową, przygotowani na różne ewentualności, by podtrzymywała nas na duchu, gdy wszystko się wali? By była kręgosłupem, dzięki któremu się nie złamiemy.

Na zdjęciu:

Przedmieścia Katmandu, kwiecień 2016 roku. Dileep stojący w jednej z ocalałych sal lekcyjnych w szkole podstawowej, w której był nauczycielem. Placówka uległa zniszczeniu podczas tragicznego trzęsienia ziemi w Nepalu, w kwietniu 2015 roku. Podczas trzęsienia Dileep wraz z żoną i sześciomiesięczną córką Mahirą zostali zasypani gruzami w swoim domu. Z pomocą brata Dileepa udało im się wydostać. Wszyscy przeżyli. Dyrektor szkoły, w której uczył Dileep, pozwolił mu zamieszkać u siebie wraz z rodziną.

RAV·A
STORIES

[Kup książkę](#)



PROZA

Wiosłami po trawie

tekst DANIEL ODIJA

rysunek MIKITA RASOLKA

[Kup książkę](#)

Widzisz, jak urosłem i przytyłem? Zobacz ten brzuch, jeden wielki flak i wałki, worek na kartofle. Wyglądam jak opona z koła traktora. Ani wódka, ani siłownia, ani figle z Rybką nie zbijają tego bandziocha, ciągle wypięty, naddany, nieułatwiający chodzenia, ciągnący do przodu i w dół. Kiedyś miałem same mięśnie, teraz samo sadło. Nie mogę zejść poniżej stu czterdziestu kilo. Co prawda, za bardzo się nie staram, ale nadmiernie przecież nie żrę.

W łóżku Rybka boi się leżeć pode mną. No to skacze na mnie, też dobrze. Choć czasami czuję się jak dmuchany ponton, na którym przysiadł ptaszek.

Urosłem tak przez kajaki. Ścigałem się w dwójkach. Z kumplem byliśmy naprawdę nieźli. Na poziomie światowym. Raz prawie popłynęliśmy na olimpiadę, ale w kwalifikacjach zabrakło nam ułamka sekundy. Że też od mrugnięcia oka zależy, czy będziesz młócił wodę olimpijską, czy przedzierał się przez krajowe ścieki.

Z kumpla zostało tylko wspomnienie. Serce mu pękło, gdy nachylił się w ogródku, by wyrwać trawkę. Zawsze był nadmiernie ambitny. Chłop jak dąb. Na zgrupowaniach dymał wszystkie kajakarki. Nie przepuszczał nawet tym, które goliły się pod nosem. I co mu przyszło z tego ruchania?

No to za kumpla. Chlup!

Kajaki to ciężka, bezmyślna robota. Kiedyś ludzie z kajaków polowali, przemieszczali się nimi z miejsca na miejsce, przepływali świat, kajaki służyły im do czegoś sensownego, ale my machaliśmy wiosłami w jednym celu: żeby jak najszybciej pokonać odcinek tysiąca metrów i wygrać z innymi. Byle do przodu.

A jednak coś w tym było. Trochę jak muzyka. Ten rytm, raz, dwa, raz, dwa. Równe pociągnięcia i narastający w miarę wysiłku opór wody, przypominający, że w życiu nic lekko nie przychodzi, a jednak przyjemny. Raz, dwa. Raz, dwa. I oddech stawał się głębszy i czystszy niż taki zwykły oddech, codzienny. Tak jakbyś w płuca zagarniał cały świat, a nie jakiś marny skrawek. Choć prędzej czy później ciemno robiło się przed oczami i człowiek pytał samego siebie, po co młóci tę wodę. Po co wypływa z siebie życie? Mięśnie zakwasza do kompletnego zeszytnienia.

A później i tak wracał do tego młócenia. No bo co miał robić, skoro niczego innego nie potrafił?

To, czego nie ma, nie istnieje. Jest tylko to, co dzieje się teraz. Teraz istnieje to, że mówię do ciebie/siebie, a ty mnie słuchasz, no i popijam/popijamy sobie. Nad jeziorem, które przypominało mi tamto jezioro, łowią rybki/nierybki, bo poza własnym odbiciem w wodzie nic nie złowiłem. Nie złapałem na haczyk nic oprócz tamtego dnia, gdy ryłem wiosłami po trawie.

Przed ostatnimi zawodami kwalifikacyjnymi na olimpiadę trener dał mi i kumpłowi zwyczajową szprycę. To był rodzaj rytuału. Przed ważnymi wyścigami zawsze dostawaliśmy zastrzyk w dupę. Ale wtedy widocznie przesadził z dawką, bo po tej szprycy nie za bardzo pamiętaliśmy, jak znaleźliśmy się w kajaku, jak popłynęliśmy do linii startowej i tylko jakimś szóstym zmysłem, wytrenowanym wyczuleniem na sygnał do startu, idealnie wstrzeliliśmy się w rozpoczęcie wyścigu. Szło nam dobrze, nawet bardzo dobrze, po kilku pierwszych machnięciach wiosłami od razu uzyskaliśmy przewagę i z każdym kolejnym machnięciem przyspieszaliśmy.

Tempo rosło, choć przecież powinno być w miarę równe, a pod koniec trochę spaść, o to jedno, dwa uderzenia wiosła. Zawsze, choćbyśmy się zesrali, żeby je utrzymać, w końcu spadało wraz z narastającym zmęczeniem. Tym razem jednak było inaczej, trochę jak w lustrzanym odbiciu, gdzie prawe jest lewe, a lewe prawe, bo zamiast się męczyć, zyskiwaliśmy nowe siły i machaliśmy coraz szybciej, gwałtowniej. Zamiast zwalniać, przyspieszaliśmy, choć wydawało się to niemożliwe – a jednak się działo!

Przyspieszaliśmy i z tego przyspieszenia nie widzieliśmy już toru, ale nie zbaczaliśmy z niego, szliśmy jak po sznurku, utrzymując kajak w prostej linii, dziób unosił się lekko i płynnie, wyprzedziliśmy pozostałych o długość kajaka i przepłynęliśmy metę, nawet tego nie zauważając.

Po przekroczeniu mety naturalne jest zaprzestanie wiosłowania, bo po co młócić, skoro skończyło się ściąganie? Normalne jest położenie wiosła w poprzek kajaka, rozluźnienie spiętych mięśni, uniesienie wyprostowanych rąk ponad głowę, by stężała

z wysiłku krew zaczęła lepiej krążyć, by mięśnie porażone skurczami odzyskały elastyczność, by wyrównać zaburzony oddech, przełknąć tę bolesną kulę wyczerpania, która zapycha przeponę, i czasami z tego tępego gniewienia tam, w środku, wydaje się, że to zawał serca albo zgaga po przejedzeniu czy przepiciu.

Ale my wtedy nie zrobiliśmy żadnej z tych rzeczy, nie zatrzymaliśmy się, nie położyliśmy wiosła w poprzek kadłuba, nie unieśliśmy ręk w górę w geście zwycięstwa, nie rozluźniliśmy karku ani pleców, nie podaliśmy sobie dłoni na znak dobrze wykonane-go zadania. Byliśmy pierwsi i nawet tego nie zarejestrowaliśmy, wciąż napędzani szprycą w tyłki. Nadal młóciliśmy wodę, nie widząc na oczy, nie dostrzegając otoczenia. Nadal kręciliśmy wiosłami młynki naprzemiennie w powietrzu i wodzie, napięci i skoncentrowani na pokonywaniu przestrzeni.

Za bardzo o tym nie wiedząc, dotarliśmy do brzegu i wciąż utrzymując niezmiennie zawrotne tempo wiosłowania, wpłynęliśmy na ten brzeg, bo szczęśliwie dla nas i kajaka woda płynnie przechodziła tu w piaszczystą plażę. Przeryliśmy ten słoneczny brzeg kajakiem i wiosłami, aż doszorowaliśmy do połaci świeżej trawy, która oddzielała plażę od lasu.

Na trawie szło nam nawet lepiej niż na piasku, bo była mokra i przez to miała poślizg. Dno kajaka zostawiało po sobie kilwatter wygnieciony naszym ciężarem jak lśniący ślad po przejściu ślimaka, tyle że my byliśmy od ślimaka dużo szybsi. Co prawda, nasze tempo w końcu trochę spadło, bo opór materii się zwiększył, ale mieliśmy to gdzieś i wciąż młóciliśmy wiosłami w pogoni za czymś, czego nie potrafiliśmy nazwać.

Wiosła ryły w trawie, wyrzucając w powietrze wyrwane kawałki darni. Chyba wtedy się zorientowałem, że nie czuję już zapachu wody, za to czuję zapach ziemi. I zaczęło do mnie docierać, że nie jesteśmy na rozległej przestrzeni akwenu z linią mety zaznaczoną bojkami, że zamiast tego zbliżamy się do drzewa, chyba liściastego. Taaak, w tym zdążyłem się zorientować. W tym drzewie, zapachu, trawie, nagle do mnie dotarło, że walimy dziobem w pierń i zatrzymujemy się na tym drzewie, którego w żaden sposób nie dało się ominąć.

Ale ciągle nas nosiło, goniło, coś przed nami uciekało, my uciekaliśmy przed czymś. Wyskoczyliśmy z kajaka, co zaryty w trawę dziobem stykał się z pniem drzewa, prawdopodobnie liściastego, i z wiosłami w rękach, wciąż nie czując przeciążonych mięśni, zaczęliśmy biegać między tymi drzewami i walić w nie wiosłami. Rozjebaliśmy wiosła, drzewa wytrzymały, nam zostały puste dłonie, które musieliśmy, musieliśmy, musieliśmy czymś zapełnić, które musieliśmy czymś zająć, więc zaczęliśmy chwycić leżące na ziemi gałęzie, właściwie konary, i walić tymi gałęziami/konarami na osłep, na złamanie, zniszczenie.

Drzazgi z łamiących się gałęzi/konarów trzaskały nam przed oczami, oczy nabrzmiewały czymś, co chciało z nas wyskoczyć i zrobić naszymi rękami coś, czego tak naprawdę nie chcieliśmy robić, ale co majaczyło gdzieś w nas, głęboko ukryte, zawsze obecne, tak jak majaczy w każdym, potrzebuje tylko odpowiedniej chwili i bodźca, by się ujawnić i wystrzelić na światło dzienne. Nie myśleliśmy o tym, bo w ogóle wtedy nie myśleliśmy, przeczuwaliśmy jednak, że to walenie gałęziami/konarami na osłep jest rodzajem wentylu bezpieczeństwa, że spuszczaamy w ten sposób ciśnienie, by nie doszło do jakiejś okrutnej zbrodni.

Gdy tylko to pojeliśmy, spojrzeliśmy na siebie z kumplem wielce zaskoczeni jałowością naszych poczynań, bo przecież łamiąc gałęzie/konary na pniach drzew, ćwiczyliśmy ewentualną zbrodnię na sucho, a skoro mieliśmy siebie, to mogliśmy przećwiczyć ją na sobie nawzajem, jeden na drugim!

Odswieżeni tym odkryciem stanęliśmy naprzeciwko siebie, stanąłem przeciwko przyjacielowi, z którym na tych wszystkich treningach spędzałem więcej czasu niż z jakimkolwiek innym człowiekiem, więcej nawet niż z moją Rybką, stałem przeciw przyjacielowi, z którym przeryłem wiosłami te niepoliczalne godziny, co zwały się w kawał życia. Patrzyłem na spoconego kumpla, ciężko dyszącego z wysiłku, z oczami podlanymi krwią, trzymającego drąg, którym miał zamiar się na mnie zamachnąć, i zobaczyłem w nim odbicie samego siebie, spoczonego, ciężko dyszącego, z drągiem, którym miałem zamiar dzielić przez głowę mojego przyjaciela.

Stało naprzeciw siebie dwóch wielkich facetów z siłą w rękach, facetów zdolnych zabić jednym uderzeniem.

I gdy już miałem rzucić się do ataku, uderzyć pierwszy, bo zazwyczaj pierwszy zwycięża, mój wróg, przeciwnik, ale jednak kumpel, przyjaciel mój, towarzysz wspólnego wysiłku, nagle upadł na kolana i pochylił głowę, i zaczął płakać jak bezbronne dziecko, zagubiony chłopczyk, przez ten płacz jakoś się skurczył i skulił w sobie, drąg wypadł mu ze zdrtwiałych dłoni.

Jak cień wywołujący chorobę przemknęła mi przez głowę myśl, że mam przewagę i wystarczy wałnąć gałęzią w głowę wroga, przeciwnika, ale chyba raczej kumpla, a nawet przyjaciela, by wygrać, zdobyć coś, choć nie wiedziałem, co to by miała być za zdobycz. I już miałem uderzyć, gdy w tym samym momencie dotarło do mnie moje własne zagubienie i pomyślałem, że jestem w kurewsko nieodpowiedniej sytuacji, i po raz pierwszy się zawahałem. Zdałem sobie sprawę, że bardzo źle się czuję w tej narzuconej mi roli, na mgnienie oka dostrzegłem własną postać jakby z boku, z tym dziwnym, rzadko odczuwanym wrażeniem, że wyszedłem z siebie, i spojrzałem na siebie stojącego z grubym konarem przed klęczącym kumplem, tym samym, z którym przed chwilą ryłem wiosłami po trawie we wspólnej walce o zwycięstwo.

Dokonawszy błyskawicznej autorefleksji, cofnąłem się z kajakiem, w którym siedzieliśmy, cofnąłem się od drzewa przez śliską trawę, a następnie piaszczysty brzeg do wody, na której ścigaliśmy się o zwycięstwo, i kręcąc wiosłami do tyłu, wracaliśmy w mojej głowie od linii mety, przez wysiłek wyścigu, aż do linii startu i wreszcie do tego momentu w szatni, gdy trener kazał nam opuścić gacie, co było sprawą dość krępującą, i wbił nam w dupy igły, wpierw mnie, a potem kumplowi, i wtoczył nam tajemniczy stymulant, który miał napędzać do zwycięstwa.

Wtedy się ocknąłem. Przejrzałem na oczy, pękło we mnie to całe napięcie, które próbowało znaleźć ujście w niekontrolowanej

agresji, odrzuciłem konar drzewa prawdopodobnie liściastego i ukląknę obok kumpla, i objąłem go, i płakaliśmy już razem, wiem, jak to głupio brzmi, a jeszcze głupiej musiało wyglądać – dwóch wielkich facetów, obejmujących się na klęczkach i płaczących.

Tak nas znaleźli, nasz trener i kilku innych, którzy podpłynęli po nas motorówką.

Wkrótce po tym zdarzeniu rzuciłem kajaki, bo ile można działać na przesterowanym organizmie, wiedzą tylko sportowcy albo nałogowcy – w każdym razie nie za długo. Trener nigdy nie przeprosił nas za imprezkę, jaką nam zgotował, za ten taniec z wiosłami po trawie. Dla niego byliśmy tylko kolejnym eksperymentem, tym razem nieudanym, mającym zapewnić zwycięstwo. A skoro tamtego dnia przegraliśmy – bo choć pierwsi minęliśmy metę, to jednak nie zmieściliśmy się w czasie, który kwalifikował do olimpiady, odpadliśmy przez ten ułamek sekundy, to niezauważalne mrugnięcie oka, w dodatku ten nasz żenujący rozpad psychiczny, dwóch płaczących mięczaków, wielkich chłopów, małych chłopczyków – więc skoro przegraliśmy, trener znalazł innych, młodszych, z większym potencjałem psychofizycznym, i z tamtymi próbował wygrać, testując na ich dupach i mózgach kolejne stymulanty.

Przyznaję, byłem dość rozbity, gdy zabrakło mi systematycznych treningów. Z początku nie mogłem sobie znaleźć miejsca w świecie bez kajaków. Nosiło mnie. Próbowałem biegać, ale coraz większa nadwaga utrudniała sprawę, bo wciąż rosłem niekontrolowaną opuchlizną, pewnie przez te wszystkie sterydy na wydolność, wytrzymałość, mięśnie i chuj wie, co jeszcze. Gdy bieganie się nie sprawdziło, spróbowałem z siłownią, ale to też nie przynosiło efektów.

Więcej też udzielałem się w łóżku z Rybką, ale po pierwszym razie nie stawał mi do drugiego, musiałem odczekać jakąś dobę. To było starcze tempo regeneracji. Ogarniało mnie coraz większe rozleniwienie i znużenie, ale wciąż miałem potrzebę wygrzania, ścigania się z innymi, ścigałem się nawet z dziećmi, które dopiero uczyły się

Partnerem Prozy w „Piśmie” jest **Wrocław Miasto Literatury UNESCO** i **Wrocławski Dom Literatury**.

**Wrocław
Miasto
Literatury
UNESCO**

